№ 6. WARSZAWA, 21 KWIETNIA 1906 R. ROK I.

PRZEGLĄD SPOŁECZNY

Tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny.

PRENUMERATA:

w Warszawie:		Z przes. pocztową:	
z odnosz. do domu	r. k.		r. k.
Rocznie	7 60	Rocznie	9 —
Kwartalnie	1 90	Kwartalnie	2 25
Miesięcznie	— 65	Numer pojedyń.	20
Numer pojedyń.	— 15	Za zmianę adresu	— 22

PRZEGLĄD SPOŁECZNY WYCHODZI CO SOBOTA.

Adres Redakcji i Administracji BRACKA Nr. 12.

OGŁOSZENIA po k. 10 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście k. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10 do 5—prócz świąt

W interesach redakcyjnych porozumiewać się można od 3-ej do 4-ej.

DROBNE RĘKOPISY NIE ZWRACAJĄ SIĘ.

Szanownych Prenumeratorów prosimy o nadsyłanie przedpłaty, a także adresów dla №-ów okazowych.

O RÓWNE PRAWO WYBORCZE.

II.

Majątek i wykształcenie a prawo głosu.

Bardziej „postępowi" przeciwnicy równego prawa wyborczego, przyznając w zasadzie słuszność postulatu tego, chcieliby tylko urzeczywistnienie jego do dalszej nieokreślonej przyszłości odsunąć, a to ze względów na dobro całości interesu państwa w obecnym stanie rzeczy. Kwestja prawa wyborczego, mówią oni, jest kwestją najbardziej celowego podziału władzy i wpływu politycznego. Otóż równe prawo wyborcze paraliżuje i usuwa wpływ warstw zamożnych i wykształconych, i wyłącznie prawie władzę polityczną oddaje w ręce mało lub nic nie mających, mało oświeconych, lub ciemnych zupełnie... Nieznaczna mniejszość obywateli, reprezentujących kulturę i wykształcenie, zniknąć musi w przeważającej masie ciemnej... Utworzy się wówczas jedna tylko amorfna (bezkształtna) masa jednorodnych i równoważnych jednostek... To nie jest równouprawnienie, ale pozbawienie praw całej warstwy narodu...

Przedewszystkiem uderza tu pomieszanie jurysprudencji z polityką, formalnej strony prawa z jego treścią społeczną. Jeżeli zamiast żywych indywiduów mieć będziemy przed oczami — kartki wyborcze, do jednej urny złożone, zamiast żywych sił politycznych — formalne prawo składania kartki, wówczas istotnie masa staje się amorfną, prawo—mechanicznie równem.

Ale faktycznie rzeczy mają się inaczej, w rzeczywistości człowiek bogaty pozostaje bagatym, zamożny—zamożnym, a biedny —biednym. Bogaty przedstawia setki i tysiące indywiduów, które w jego duchu, według jego życzenia głosują. A i człowiek wykształcony faktycznie zachowuje przewagę nad niewykształconym, a nawet, jeśli rzeczywiście posiada wykształcenie polityczne, rzeczywistą świadomość tego, co państwu i społeczeństwu jest potrzebne, to iść może ze zgromadzenia na zgromadzenie i tysiące, setki tysięcy pozyskać dla swojej idei. — Tymczasem człowiek biedny i niewykształcony rzeczywiście ma tylko swój jeden jedyny głos, i, jako taki głos ten istotnie tonie w setkach tysięcy innych. Socjalna potęga majątku, utajona siła wykształcenia bynajmniej nie nikną w bezkształtnej masie, przeciwnie tu dopiero występują one w ostrych zarysach, wprost plastycznie uwydatniają się w liczbie głosów, które w ruch wprowadzić zdołały, wogóle teraz dopiero dają się one politycznie zmierzyć.

Ci, którzy w sposób powyższy argumentują, biorą stempel, odbicie za metal, ogłupiają siebie i innych prawnemi formami. Bogatemu idjocie dać chcą dwa, pięć, dziesięć głosów dlatego tylko, że ma majątek, tak samo chcą uprzywiljować uczonego dziwaka, który stroni od ludzi, dlatego tylko, że dużo książek przeczytał — chociażby jeden i drugi nie troszczył się wcale o sprawy narodu i państwa. Ale jednostki te, wogóle jednostki w tym wypadku są dla państwa czemś najzupełniej obojętnem. Dopiero przez wyniki wyborów, liczbę głosów, przez różne grupy pozyskanych, państwo dowiedzieć się chce, jaką jest w społeczeństwie utajona potęga majątku i wykształcenia, w jakim stopniu przewagę i wpływ w narodzie mają konserwatywne interesy posiadania i liberalne — wykształcenia; państwo przez wybory chce dopiero poznać sa-

mo siebie. W tem znaczeniu każdy okres wyborów jest dla państwa rodzajem ekspertyzy.

Ale zwolennicy wszelkiego rodzaju „stopniowania prawa wyborczego“ wychodzą z pojęcia państwa, które niby „duch unosi się nad wodami“, zgóry już wie, co czynić należy i według swego najwyższego rozumu prawa rozdziela.

A więc stanowi, że np.

Nic nie posiadać i nic nie umieć=1.
Nic nie posiadać i wykształcenie elementarne=2.
Nic nie posiadać i wykształcenie średnie=3.
Posiadać kamienicę i wykształcenie elementarne=5. i t. p.

Jednakże w rzeczywistości państwo nie jest onym „duchem nad wodami“ lecz jest to sam naród, społeczeństwo w jego zewnętrznej organizacji, władza państwowa jest wykonawcą woli ludu, albo, jak mówiono w historycznej szkole, prawo, „powszechnego przekonania prawnego“. Zatem państwo musi badać, jaką jest wola ludu, jakiem jego przekonanie, jakie w nim siły działają. Przeciwnicy zaś demokratycznego prawa wyborczego stosunek ten odwracają: Naprzód istnieje państwo, które wie, czego chce, i stosownie do tego praw wyborczych udziela tym, którzy chcą tegoż samego, co i owo metafizyczne państwo, a właściwie rządząca w niem klasa, a czasem tylko klika.

Zważmy dalej, że w prawie wyborczem idzie nie o całą funkcję państwową. Z trzech rodzajów władzy, jaką państwo wykonywa: administracyjnej, sądowej i prawodawczej, wyborca do parlamentu powołany jest do udziału tylko w tej ostatniej. A i tej nie sprawuje on wyłącznie, lecz, jak w monarchjach konstytucyjnych, dzieli ją z głową państwa, rządem i zazwyczaj z izbą wyższą.

Pozatem pozostaje dla parlamentu prawo kontroli nad funkcjonowaniem całej machiny państwowej. I jeżeli czynność prawodawcza przedstawicieli ludu wielu ograniczeniom i przypadłościom podlega to prawo kontroli wraz z zastosowaniami jego, jak zatwierdzanie budżetu, prawo interpelacji, odpowiedzialność ministrów — stanowi istotną cechę każdego przedstawicielstwa ludowego, które bez atrybucji tej staje się tylko cieniem lub pozorem. Prawo kontroli ze strony parlamentu jest ze strony rządu obowiązkiem zdawania sprawy ze swoich czynności. Przed kimże obowiązany jest rząd do tego zdawania sprawy.

Jeżeli wybory dokonywują się i parlament składa się na podstawie cenzusu majątkowego, jawnego lub zamaskowanego (jak cenzus naukowy) to odpowiedzialność rządu redukuje się do odpowiedzialności względem przedstawicieli klasy posiadającej, czyli w stosunku do ogółu narodu stwierdza się panowanie jednej klasy i przytem panowanie zgoła nieodpowiedzialne: zawiadywanie całym majątkiem narodowym dotyczy tych tylko, którzy majątek ten w rękach dzierżą, jako prywatni właściciele, oni tylko powołani są i kompetentni do udziału w publicznym zarządzie majątku narodowego i do kontroli nad tym zarządem.

Otóż niewątpliwie z punktu widzenia formalnie prawnego, w myśl zasad prawa prywatnego każdy posiadacz rozporządza majątkiem swoim tak, jak mu się podoba, i w ten sposób klasa posiadająca nieograniczonym jest panem całego majątku narodowego. Według starego liberalizmu prawna ta konstrukcja ma również zastosowanie polityczne: na państwie cięży tylko obowiązek stróża nocnego, który pilnuje bezpieczeństwa i nietykalności osób i mienia. Nikt nie jest odpowiedzialny za wykonywanie swych praw prywatnych i żadnym ograniczeniom nie podlega. W myśl poglądu tego, według wyrażenia Marxa, państwo jest idealnym kapitalistą zbiorowym, jest komitetem wykonawczym klas posiadających.

Ale właśnie stanowisko to dziś utrzymać się nie daje. Burżuazyjna ekonomja polityczna z naciskiem stwierdza, że jeśli nie z punktu widzenia formalnie prawnego i atomistyczno-liberalnego, to faktycznie posiadanie jest funkcją gospodarczą i pewnego rodzaju społecznym urzędem. Klasa posiadająca w ten sposób przedstawicielką jest pewnej funkcji i pewnego urzędu w społeczeństwie, i państwo, które własności prywatnej nakłada pewne powinności i ograniczenia, przez to właśnie zmusza klasę posiadającą do spełnienia ciążących na niej zadań. Prawo prywatne, nieograniczone z punktu widzenia prawa cywilnego, — jest ograniczone przez prawo administracyjne, własność nieograniczona jest czystą konstrukcją teoretyków prawa cywilnego. Tego rodzaju argumentami oddawna już socjalnych demokratów zarzucają i zwalczać usiłują różni socjaliści z katedry, ambony i urzędowych kancelarji.

Więc dobrze — jeśli klasy posiadające sprawują urząd społeczny, to przed kimże mają zdawać z niego sprawę? Albo sądzicie może, iż wielkie majątki dane im zostały dla odkarmiania tylko i ubierania ich mizernych osobistości, albo że wysokie wykształcenie otrzymywali ze skarbca stuleci i na koszt instytucji państwowych tylko dla swojej prywatnej przyjemności? Jeżeli zatem majątek i wykształcenie nakładają obowiązki, to od kogóż klasy te otrzymywać mają absolutorjum z sumiennego użycia powierzonego im skarbu? Czy może tylko jeden od drugiego? ... Ale cóż to dotyczy jednego kapitalistę, gdy drugi np., jako właściciel, kopalni sprawia całe hekatomby z robotników, jak niedawno stało się w Courrières: Kruk krukowi oka nie wykole. Czy też od ogromnej większości narodu, od tych, którzy biedni są, ażeby oni mogli być bogatemi; którzy nie mają szkół, ażeby oni mogli się uczyć; którzy nadto wykonywają całą ciężką pracę, ażeby oni mogli używać swego majątku i wykształcenia? — Jeżeli więc wszystko, co opowiada nam nowoczesna burżuazyjna nauka o prawie i państwie, nie ma być tylko nędznem kłamstwem, w takim razie, pomimo prywatno-prawnej nieodpowiedzialności, uznana być musi obowiązkowa odpowiedzialność polityczna klas posiadających.

Tak, państwo jest komitetem wykonawczym klas panujących nawet w krajach demokratycznych, w Anglji, Francji, nawet w Szwajcarji. Ale burżuazja tych krajów rozumie, że rządy nieodpowiedzialne powodują upadek samych rządzących. Dlatego przyjmuje ona polityczną odpowiedzialność wobec wielkich mas nieposiadających, wobec parlamentu, wychodzącego z równego prawa głosowania, z prawa, dla którego każdy nie jest ani posiadającym, ani wykształconym, ani też biednym i niewykształconym, tylko poprostu obywatelem państwa, elementarnym członkiem społeczeństwa.

Prawo głosu jest tylko jednem z wielu praw prywatnych i publicznych, które dają siłę w społeczeństwie, jest właściwie nie wiele więcej, jak prawem kontroli. Realną władzą, rzeczywistą siłą społeczną rozporządza człowiek posiadający—jako przedsiębiorca, człowiek wykształcony — jako urzędnik, i kartka wyborcza tej siły nie znosi i nie zmienia. Klasy posiadające i wykształcone w rękach swych mają wszystkie przedsiębiorstwa, instytucje i urzędy, one są państwowemi i społecznemi funkcjonarjuszami, nie posiadający zaś dźwigają na sobie wszystkie ciężary, a funkcję publiczną mają jedną tylko — funkcję kontroli za pomocą prawa głosowania. Prawo to jest niby sumieniem burżuazyjnego społeczeństwa.

Wł.

ST. BRZOZOWSKI.

DROGI i ZADANIA NOWOCZESNEJ FILOZOFJI.

(Dokończenie).

Od Kanta dopiero dzieje zaczynają istnieć jako przedmiot świadomości. Póki człowiek nie zrozumiał samodzielności swojej wobec przyrody, póki nie zrozumiał, że sama przyroda jest i musi być dla niego zawsze treścią historycznie uwarunkowaną, o dziejach we właściwem znaczeniu wyrazu, t. j. o ciągłej i samowładnej twórczości człowieka nie mogło być mowy. Trzeba było zrozumieć, że nawet przyrodę, w jakiej żyje człowiek, przyrodę pojmowaną jako teren działalności ludzkiej sam on wytwarza, a w zależności od jego czynnego stanowiska teren ten zwęża się lub rozszerza, przekształca i zmienia, aby móc postawić inne pytanie: jaki cel mają dzieje, co ludzkość ma uczynić z siebie.

Zrozumiejmy, że gdy sprawa w ten sposób już postawiona została, tradycyjne znaczenie filozofji zostaje przezwyciężone. Niema sensu już mówić o poznaniu świata, które ma określić cel i zadanie ludzkości. Ludzkość nie poznaje sensu świata poza sobą, lecz stwarza go. Nie o poznanie, lecz o czyn tu idzie. Od Kanta dopiero zaczyna się świadome, uzasadnione istnienie etyki, tak jak od niego zaczyna się świadome swych założeń istnienie filozofji historji. Trudno powstrzymać się od uwielbienia, gdy się myśli o przewrocie dokonanym w całem świadomem życiu człowieka przez tego wielkiego myśliciela. Nie waham się twierdzić, że cała myśl nowoczesna aż do Marksa jest rozwiązywaniem myślowych zagadnień, z punktu widzenia wielkiego programu przez Kanta zakreślonego. Marks może być rozumiany tylko w związku z Kantem, kto go rozumie inaczej, rozumie go źle. Mam nadzieję, że w dalszym ciągu szkiców niniejszych dowiodę tego. Tu zrozumiejmy znaczenie właściwe programu myślowego, nakreślonego przez Kanta. Ludzkość sama sobie ma nakreślić plan swego istnienia. Rozum ma zawładnąć dziejami. Nie poza sobą, nie poza myślą własną szukać mamy sensu świata. Człowiek nie wychodzi nigdy poza sferę działalności ludzkiej. Gdzie myśli, że styka się z przyrodą, tam też ma do czynienia z wynikami ludzkiej działalności. To też napróżno szukał by formuły, która by mu odsłoniła raz na zawsze sens i cel istnienia. Świat ma dla człowieka tyle znaczenia, ile zdoła on z niego wydobyć. To też ilekroć pojęcie jakieś, czy dogmat przypisuje sobie jakieś pozaludzkie, bytowe, komiczne znaczenie: wiedzmy, że mamy do czynienia z uroszczeniem bezpodstawnem. Współcześni pisarze przedstawiają nam zwykle pomniejszonego Kanta: gdy się czyta ich charakterystyki, wydaje się, że idzie tu o jakieś specjalnie uczone, szkolne sprawy, tymczasem idzie tu o rzecz tak wielką, jak stwierdzenie i upodstawowanie raz na zawsze praw rozumu ludzkiego do samowładczych rządów nad ludzkością. Nie świat to rozstrzygać ma, czem ma być ludzkość, lecz ludzkość sama stanowi; co ma uczynić z siebie i ze świata Kanta nie napróżno porównywali z wielką rewolucją Francuską. Są to zjawiska analogiczne i współrzędne. I zarówno, jak całe nasze obecne dzieje są właściwie wyprowadzaniem wszystkich konsekwencji, jakie w wielkiej rewolucji Francuskiej były zawarte, tak samo całe dzieje naszej myśli nowoczesnej: są usiłowaniem całkowitego zrozumienia Kanta, wysnucia wszystkich wniosków, utajonych w jego założeniach. I rewolucja francuska i Kant są aktami pryncypialnego wyzwolenia ludzkości. Nikt głębiej i jaśniej niż Kant nie zdawał sobie sprawy, że świat ludzki, świat w którym człowiek żyje myślowo, jaki poznaje— nie wyczerpuje rzeczywistości, ale nikt też jaśniej niż Kant nie wykazał, że nigdy ludzkość nie wychodzi poza ujęcie świata przez siebie, że słowem niema takiej dziedziny myśli, w której jakaś określona treść nadawać sobie mogła pozaludzkie, ponadludzkie znaczenie, że zatem wie, co treść świadomości kulturalnej stanowi, nic jest wyjęte z pod krytyki. Krytyka niezmiennego bytu była by czemś bezcelowem. Ale byt ten nigdy nie stanowi treści myśli ludzkiej, zawsze mamy do czynienia z czemś, przez ludzkość stworzonem. Cała więc treść życia ludzkiego zarówno teoretycznego, jak praktycznego jest materją dziejów. Dzieje nie tracą samodzielności wobec przyrody, gdyż ją obejmują. Świat pozadziejowy jest sam wytworem dziejów. Dzisiaj często można napotkać usiłowania podporządkowania dziejów przyrodzie, historji—naukom przyrodniczym. Jest to niedorzeczność wypływająca z niedostatecznego rozmysłu krytycznego. Dzieje—świat odpowiedzialności człowieka i jego czynu—jest rzeczywistością logicznie pierwotniejszą, niż przyroda. W tem wyzwoleniu dziejów, jako zadanie ludzkości—leży, zdaniem mojem, centralna myśl Kanta. Co więcej—sądzę, że jest to niewzruszona podwalina całej nowoczesnej myśli filozoficznej. W uznaniu samodzielnego znaczenia dziejowości leży punkt przełomowy pomiędzy starą—kosmiczną, dogmatyczną—a nowoczesną,—dziejową, krytyczną filozofją.

Trzeba tylko zrozumieć wszystkie konsekwencje, zawarte w tem uznaniu dziejowości—za właściwy ży-

wiol ludzkości, za medjum, poprzez które jedynie i wyłącznie styka się ona z bytem. Filozofja, która operowała pojęciem bytu, i z pojęcia wyprowadzała reguły, opierała się na przypuszczeniu, że byt poza ludzki czy ponadludzki może być ujęty w pojęciu człowieka. Cała nauka nie opiera się tu na poznaniu, jedyną bronią, jaką filozofja ma w ręku jest logiczna kontrwersa. Inaczej przedstawia się sprawa, gdy zrozumianem zostaje, że wszelkie pojęcie bytu jest stadjum historycznem. Historja, dzieje, czyn są ostatecznym sprawdzianem. Arystoteles twierdzi, że takich a takich gwiazd na niebie być nie może, ale nowoczesny, wierzący teleskopowi i oku więcej, niż ujęty w pojęcia wiedzy pewnego okresu—uczony znajdzie je. Gdyby jednak wszystkie trudności były tego rzędu—sprawa przedstawiała by się dość prosto. W dziedzinie poznania, czyli, doświadczenia dawno już zwyciężyło bierne poddanie się formule.

Filozofja jednak nie tylko poznawała świat, ale wykreślała zasady postępowania.

Ponieważ jednak ludzkość nie poznaje istoty bytu, niepodobna więc zrzucić na nią owej własnej odpowiedzialności.

Nic więc z tego, co zostaje uznane za materjalnie określony cel ludzkości, za materjalnie, treściowo oznaczone przeznaczenie moralne człowieka—nie jest pozaludzkim, nad ludzkością zawieszonym wyrokiem. Jedyną prawdą moralną jest, że ludzkość sama o sobie stanowi, że zatem wszystkie materjalnie określone cele i zasady etyczne są względne. Bezwzględną wartość dla ludzkości posiada tylko jej własną inicjatywę, zastrzegająca—swobodę stanowienia. Takiem jest pozytywne znaczenie etycznego formalizmu Kantowskiego. Jego beztreściowość — jest zabezpieczeniem praw do dalszego—ponad wszelką treść zdobytą—postępu, jest stwierdzeniem, że nie może być zasady tak wielkiej i świętej, aby w jej imieniu można było żądać od ludzkości zrzeczenia się prawa stanowienia o sobie, prawa krytyki. Formalność etyczna Kanta jest zaprzeczeniem wszelkiego dogmatyzmu etycznego, a więc także wszelkiego historycznego autorytetyzmu.

Znamy już naturę granic przyrodniczego poznania, a więc i naturę czynu ludzkiego, wyzwalające go myśl z pod władzy ustalonych, a zbyt ciasnych pojęć o przyrodzie. Tu jednak mamy do czynienia z pojęciami innego rzędu.

Wyjaśnianie całego, skomplikowanego mechanizmu powstawania pojęć moralnych — doprowadziło by do całkowitego rozsadzenia planu i granic tego pierwszego przedwstępnego szkicu. Przedmiot ten zajmować nas będzie jeszcze niejednokrotnie. Tu poprzestaję na wskazaniu linji zasadniczych.

Pojęcia o celu i zadaniach ludzkości—są tylko wytworami myśli ludzkiej, są ustanowieniami tej myśli. Mamy więc w nich do czynienia z pewnym etapem twórczości dziejowej. Dzieje — rzeczywista historja czyn—są ostatecznemi sprawdzianami, jakie tu jedynie, rozstrzygać mogą. Gdy w imię jakiegoś pojęcia poznać mamy bieg przyszłej historji—i w pojęciu uznajemy uświęcający sprawdzian, zmieniamy właściwy stosunek. Nie pojęcia bowiem są miarą dziejów, lecz dzieje—miarą pojęć. Zwykłą skuteczną metodą przezwyciężania dogmatyzmu historycznego—jest tworzenie nowej historji. Myśl sama i jej logiczne środki nie wystarczają.

Gdy się stoi na gruncie zapatrywań, że nie poznanie gotowego świata, lecz tworzenie jest ostatecznym sprawdzianem wszystkich spraw ludzkości, a widzieliśmy, że wszystkie sprawy pozaludzkie są jeszcze ludzkiemi, zrozumieć łatwo, że mogą być zagadnienia przez czyn jedynie rozwiązalne, a mogą być epoki, w których wszelka bierna filozofja—jest kłamstwem, gdy całe znaczenie filozofji skupia się na jednem—być świadomością czynu, jaki ma być dokonany.

Rozumiemy może teraz, w jakiem znaczeniu mówił Marks o „ostatnich filozofach“.

Białe ręce.

Gdzie tu już porównania! — powiedział mi przyjaciel rosjanin, kiedym mówił o współczesnej naszej literaturze i przeprowadzał subtelne paralele... Gdzież tam już nam do was. Esteci wy! wytworni ludzie; kultura u was! Każde słowo u was takie wymyte, pachnące. Znać, że pisała je biała, czysta, elegancka ręka. I łzy wasze i krew wasza — wszystko piękne. I wy tu piszecie krwią — ale błękitną. Stąd i wytworność ta, wiadomo! Nie byle kto syn stu pokoleń prawie własne swoje szlachetnie urodzono serce rozrywać raczy. Nad chamem się lituje. Nad obdartusem —brudasem także. Taka już w nim anielska dobroć jest. Własną swą wypielęgnowaną rączką do ran się dotyka. Na gnojne wrzody jego nakłada bandaże z najdoskonalszej waty. Pod strudzoną, kudłatą głowę — podkłada poduszkę z edredonów: wiadomo! U was jeszcze jenerał jakiś w Paryżu mówił: my chcemy chłopa uszlachcić, a wy szlachtę schłopić. Szczęśliwi ludzie wy. Wszystko wam tak łatwo idzie: „My w chłopie polskim rozbudzić potrafimy taki konserwatyzm, taki feodalizm i taki narodowy bismarkizm, że aż junkrom pruskim ślinka popłynie. Twardy a zakuty łeb. twarda pięść, nie powinny być szlacheckim przywilejem. Spuścizna dziejowa u szlachty przeszła dziś na chłopa. I chłop nasz ma zakosztować „saskiej“ ciemnoty. Szlachta polska była przedmurzem zachodu. Chłop polski stanie się przedmurzem wschodu. Szeroką piersią swą bronić go będzie przeciw „genewskim nowinkom... Niech żyje Polska ludowa“... Czytałem przecież... Sprawozdanie z wiecu chłopskiego, tak to się nazywało. A mowy jakie... całkiem posiedzenie starej, wyrobionej szlachty. Niczem koło polskie: z szlachtą polską polski lud! Dmowski, Balicki i inni urodzeni ludzie dadzą kulturalną spuściznę i sztukę nierumieniącego się kłamstwa. Syn ludu da pięść i twardą, jak głaz polny głowę. Przedmurze! zapoznani wy ludzie. Wyrobienia waszego politycznego nie rozumie. Stąd i wszy-

stko zło... ale to przejdzie. Moment już taki. Braterstwo. Poznają się i pokochają prawdziwi ruscy i prawdziwi polscy, wszechpolscy ludzie, a teraz, jeśli kłótnie są, — to jalousie de mètier, tak myślę — tu bruździ. Ułoży się. Racjonalny podział pracy. Wy zresztą ludzie cierpliwi, wiadomo. Doczekacie się... My myślimy ciężko, i nie odrazu rozumiemy. Ale zrozumieją i was wreszcie. I dla waszego Dmowskiego znajdzie się jeszcze. Wiadomo, przecież polityk! Mąż stanu! Ja tu z jednym staruszkiem polskim rozmawiałem. Oświecać mię raczył. Wszystkich oświeca, kroatom, czechom, mołdawianom pojęcia o Rossji prostuje. Ciemnota tam, nędza i zastój. Jakże to, pytam się go... Kirgizi mają swoje postępowe organizacje, reprezentantów... Zaśmiał się tylko: Oni to właśnie, kirgizi i swoboda. Bo pomyślcie tylko. I wy chcecie, aby Balicki i Dmowski, Spasowicz i Libicki — postępowcami byli. No czyż może być pomiędzy niemi a kirgizem lub tatarem co wspólnego?... Nie może — potwierdziłem. — Podobno Balickiego egoizm narodowy streszczono w kirgiskiej gazecie. No i czytelnik! Przeczytał, posmakował i plunął. Tak widzicie — Adamie Feliksowiczu, nie daje się kultury, wrastać w nią potrzeba potroszeczku. Inaczej nie wyjdzie nic. Ty tatarom, nie to Dmowskiego, ale nawet Kempnera albo samego Świętochowskiego daj: i nie odczuje—za delikatne dla niego. Za subtelne. Nie! Gdzie już nam do was. Słuchałem, i mimowoli przypominały się długie a głębokie wykłady galicyjskich metafizyków i estetów o swobodzie: w was warszawiakach swobody brak. Wy nawet w sztuce nie umiecie być swobodni. To już wpływ rosyjski, zapewne. My w Galicji...

I istotnie.

Swoboda tu jest hasłem. Muza galicyjskiej sztuki — jest utrzymanką tabetycznego magnata. Na ramionach jej bywają c. k. starostowie, biskupi, prałaci... Gdy zaś dostojni goście i najdostojnieszy protektor wsiada — wpuszcza po cichutku — studencika — radykała—niech żyje wolna miłość. Później zaś konceptami, anegdotami, jakie jej chłopczyna znosi — bawi umitrowanych, uherbowanych gości.

Czasami tylko mówi szeptem, aby ksiądz kardynał Puzyna nie usłyszał.

I tak piszą zresztą von Gut und Böse — dawni przyjaciele Przybyszewskiego p. Rakowski, Starzewski, w krakowskim C z a s i e. Pisywał tam i p. Kazimierz Tetmajer, zanim coś tam zaczęło mu się marzyć, i będzie znów pisać, gdy mu się znów marzyć przestanie — gdyż, widmo snu złotego wraz przeniesie się z Galicji i do Królestwa.

Metafizyka jest przyrodzonym żywiołem galicjanina, w niej jednoczy się wszystko. Gdy s ł o w o p o l s k i e napada na rusińskich albo i całkiem polskich chłopków, kiedy już ich porąbią, potratują, poturbują, wtedy Jan Kasprowicz we własną duszę weźmie tu ich ton i zaintonuje na szpaltach S ł o w a P o l s k i e g o święty Boże!:

Tak pp. Jan Sten i Wilhelm Feldman mają słuszność.

My w Królestwie nie umiemy jeszcze być swobodni.

To przyjdzie, i dopiero przyjdzie. Nie darmo się już p. Kazimierz Tetmajer cieszy.

Chochoł stał się czczą marą, żartem,—„płaskim konceptem“ Wyspiańskiego.

Epoka nasza przezwyciężyła W e s e l e. I rok 1905 miał swój L e g i o n. Nazywał się Z i e l o n y B a l o n i k.

Tak głęboko „wżerały się nam w duszę płomienie życia“. Nam: młodym, młodszym i najmłodszym.

Jak głęboko! o tem dziś nie wie nikt. O tem dowiemy się za lat kilka, gdy posypią się tomiki, tomiska i tomy. Dziś już można słyszeć znowu nastawianie aparatów. Przyjdą lata. Warszawa będzie miała swój C z a s i swoje S ł o w o P o l s k i e — wtedy wszystko to mocno odżyje w odcinku. Tylko nie należy przypuszczać, że drukowanie odcinka w jakiemś piśmie zobowiązuje co do jego programu. Twórczość jest z zasady swobodna.

Czysty akt czystego ducha wieczności.

Dziwnym tylko trafem „wieczność sztuki, gdy się ucieleśnia, zdradza najwięcej powinowactwa z Czasem albo Słowem Polskiem.

Czas — możnaby to jeszcze zrozumieć.

To ostatecznie wszystko cuchnie domem pogrzebowym i ideje, słowa i ludzie.

Nawet kłamstwa i podłostki przychodzą tu na świat łyse, siwe i bezzębne.

A l e s ł o w o P o l s k i e?

Tę zagadkę wyjaśni nam może p. Jan Kasprowicz lub Zygmunt Wasilewski, którzy i dziś widzą zapewne, że poza Czasem—Mickiewicz kochał nawet tę „skorupę narodu zimną“, na którą kazał pluć. Czy nie jasnem jest—że Mickiewicz nas przewidział—wołał p. Z. Wasilewski—w polemice z Ostapem Ortwinem. Kazał pluć przecież. Wogóle jednak Mickiewicz był dość bezwzględny. Któż dziś pisze o pluciu. Albo te jego pisma polityczne.-Najwłaściwszą rzeczą było by, gdyby po Mickiewiczu pozostały tylko trzy rywalizujące o palmę bezduszności pomniki. Wreszcie mogłoby ich być nawet 333. Najzupełniej zbytecznemi natomiast są dzieła. Skoro n a r ó d postawił już pomnik, pocóż ma jeszcze czytać. Domagać się znajomości i rozpowszechnienia dzieł mogą tylko obce żywioły, sjoniści i socjaliści. Odkrycie o bezwzględnej wyższości pomników nad dziełami zrobił zresztą znacznie dawniej p. Straszewicz. Gdyby zstąpił on z tego piedestału—łza przebaczenia spłynęłaby mu po twarzy i poszedłby do redakcji Kurjera Polskiego.

Błąd! woła p. Wasilewski—niemamy powodu przypuszczać żadnej łzy przebaczenia. Widzimy przecież, że Kasprowicz nie płacze, z powodu ogłupiania czy obijania chłopków galicyjskich. Ani łzy, ani przebaczenia. Trzeba być wyższym ponad swe przekonania. Tendencja jest wrogiem sztuki, twórczości.

A. Czepiel.

BANKRUCTWO SJONIZMU.

Sjonizm powstał pod połączonym wpływem wzmożenia się uczuć narodowościowych i ogólno-europejskiej reakcji. Żydzi pozazdrościli światu, że nie mają swego rodzimego nacjonalizmu i stworzyli sobie ad hoc, na własny domowy użytek dość naiwny szowinizm, którego ostatecznym celem było utworzenie jeszcze jednego burżuazyjnego państwa w Palestynie z żydowskim żandarmem i poborcą podatkowym. Plan ten, rozumie się, jest absolutnie bezkrytyczną utopją, — bo nie można w XX-ym wieku urządzać nowych wędrówek narodów, — a oprócz tego nigdy Turcja i inne mocarstwa ziemi świętej żydom nie dadzą, i nigdy sjonistyczne konsorcjum nie zdobędzie stosownych środków pieniężnych ani przewozowych do transportu dziesięciomiljonowej ludności na brzegi Jordanu. Zresztą i dla szerokich zacofanych mas żydowskich hasła syonistyczne były pustym i czczym dźwiękiem, — biedni żydzi mogli emigrować do Ameryki w nadziei poprawy swego ekonomicznego bytu, ale dalekie palestyńskie piaski, na których mieli zajmować się rolnictwem, posiadały dla nich bardzo wątpliwą siłę przyciągającą. Z religijnego zaś punktu widzenia odzyskanie Sjonu mogło nastąpić jedynie drogą nadzwyczajnych zrządzeń i cudów Boskich za pomocą wybranego męża Messjasza, na którego, nie obserwujący „koszeru" prowodyr sjonizmu Hertzl nie miał najmniejszych kwalifikacji. To też „chassydzi" i wogóle prawowierni żydzi, którzy właściwie stanowią naród, bo jest ich dziewięć dziesiątych ogólnej liczby, uznali w sjonizmie niebezpieczne nowatorstwo i godną potępienia herezję.

Tym sposobem sjonizm odrazu stracił grunt pod nogami. Warstwy zawodowej inteligencji i bogata finanserja żydowska, na której miljony głównie dla swoich celów sjoniści liczyli, — wyznawały oddawna program asymilacyjny i powitali nowy ruch bardzo nieprzychylnie. Uświadomieni robotnicy żydowscy mieli swoje własne, zupełnie odmienne klasowe interesy i o Palestynie słyszeć nawet nie chcieli. Co prawda postępowy (?) odłam sjonistów probował z początku skokietować proletarjat żydowski nader komiczną obietnicą, że jerozolimskie „państwo przyszłości" będzie zbudowane na zasadach komunistycznych, — ale na podobne więcej niż fantastyczne, Bellamy'owskie projekty robotnicy odpowiedzieli drwinami*). Wówczas nieszczęśliwy sjonizm skręcił odrazu na prawo i, zwracając się do większych i mniejszych rabinów i chassydzkich „rebów", poczynił im znaczne ustępstwa w sferze prawomyślności religijnej, byle skaptować nabożne i ciemne rzesze żydostwa dla palestyńskiego kierunku. Ale duchowni przewodnicy ortodoksyjnych tłumów odpowiadali z niewzruszonym, kamiennym spokojem: „*Non possumus!...*", bo nie mieli krzty zaufania do ludzi nie noszących długich kapot i nie obserwujących drobiazgowych przepisów, obrzędów i zabobonow wiary Mojżeszowej. Wkrótce też rzucono uroczystą klątwę (cherem) na hebrajskie pismo „Hazefirę", która u nas sjonizm najżarliwiej propagowała.

Po tak sromotnem fiasku sjoniści porzucili naraz myśl o szerokiej masowej propagandzie i zaczęli rekrutować zwolenników, jacy się biegiem wypadków nadarzyli. Wybierki i uciekinierzy z najrozmaitszych partji społecznych, wszystko, co w żydowstwie było aroganckiego, reakcyjnego i tchórzliwego, garnęło się pod sztandar sjonizmu. Istnieje wszak wielu średnio zamożnych burżujów żydowskich, którzy dla pokrycia, czy to swych wątpliwych etycznie geszeftów, czy też swej kompletnej ideowej nicości, potrzebują jakiejś efektownej przykrywki, jakiejś społecznej etykietki, unicestwiającej na zewnątrz dziury i łachmany ich mizernego światopoglądu. Nieprzyjemnie wszak i niewygodnie często być bezpartyjnem zerem, — niech więc będzie „sjonista", — tembardziej, że ten tytuł nie nakładał żadnych obowiązków i nie groził na mniejszem niebezpieczeństwem. Półinteligentna, drobna burżuazja żydowska, — zacofana, sobkowska i nacionalistycznie zaciekła, — zaczęła zapisywać się w poczet zwolenników bazylejskiego programu i wyryła na całym ruchu swe małokulturalne piętno. Utworzył się nader pstry i mieszany konglomerat ciasnych, słabo ukształconych i fanatycznych umysłów, którzy mieli jedną tylko wspólność, że byli mniej lub więcej zdecydowanemi wstecznikami. Słaby procent lepszych i jedynie wartościowych elementów składał się z niedowarzonej ale szlachetnej w gruncie rzeczy młodzieży, którą rozgoryczyły brutalne wybryki panstwowego i towarzyskiego antysemityzmu. Ci jedni myśleli szczerze o wyjeździe do Palestyny i przyszłej osobistej pracy na roli, — dla reszty ów Sjon był już tylko poetyczną fikcją i retoryczną figurą, działającą na sentymentalizm słuchaczy, dzięki którym tak łatwo można zdobyć tani rozgłos i zdawkową popularność.

Zdobywszy wśród drobnej burżuazji garść zwolenników, sjonizm wypracował plan akcji i rozpoczął swą, na małą skalę prowadzoną, ale dość ciekawą gospodarkę. Taktyka sjonizmu polega na tem by zdobyć dostateczną ilość pieniędzy do wyhandlowania u zadłużonej po uszy Turcji Palestyny. Ponieważ miljarderzy żydowscy nie chcą dać zupełnie słusznie ani grosza na tak fantastyczne przedsiębiorstwo, pozostaje jedynie droga wzajemnych składek (szekli) i finansowych spekulacji, dla prowadzenia których założono mały, z trudem wegetujący banczek w Londynie. Na szczęście wszystkie te zaborcze machinacje istnieją tylko w wyobraźni przyszłych sjońskich obywateli, albo też na cierpliwym papierze gazet i wydawnictw partji. Ale na ten temat było bardzo dużo wzruszającej i burzliwej gadaniny na urządzanych corocznie, prawie sjonistycznych kongresach, które są miejscem, gdzie wszyscy żydowscy drobni sklepikarze i dostawcy dla wojska, wszyscy dużego i małego kalibru lichwiarze i zdziercy własnego ludu, mogą na cześć tegoż ludu faryzeuszowskie dytyramby głosić. Przed takiem właśnie forum kongresowem, wśród ogólnego podziwu i radości, oficjalny wódz i prezydent sjonizmu Hertzl zdawał sprawę z swych licznych i bardzo kosztownych przejażdżek po przedpokojach dyplomatycznych, —

o tem jak on, Hertzl, feljetonista z „Neue freie Presse“, konferował z sułtanem, cesarzem Wilhelmem i nawet z von Plehvem, jak wszystko dobrze idzie i jak gigantyczne postępy robi sprawa odzyskania przez żydów Palestyny. I wciąż ministrzy i ambasadorzy przyjmowali go z wielkoświatową dystynkcją i, — uśmiechając się pod wąsem, — robili najbardziej czarujące propozycje, — aż wśród tych różowych obietnic i nadziei Hertzl przeniósł się nie do Sjonu, a na tamten świat, nie zdążywszy napisać tysiącznego feljetonu do „Pressy“. Palestyny zaś sjonistom wciąż nie dają — i nawet nie myślą dać.

Tymczasem kończył się już w Europie, a zwłaszcza u nas ciężki i zatęchły okres reakcyjnego Aranjuezu. Czuć było w powietrzu powiew nowych dni, — i wszystkie nocne ptaki, wszystkie ciemne siły, które tak bujnie wylęgły się i rozpleniły podczas epoki ogólnego wstecznictwa zaczęły chować się do swych nor i zaścianków. Sjonizm,—ów poroniony płód z dobranego małżeństwa reakcji z antysemityzmem, — bez walki prawie i oporu również zakończył swój suchotniczy żywot. Zabiła go zasadnicza utopijność, która pozwala wprawdzie stworzyć hasło, ale nie daje możności go realnie przeprowadzić, zabił go drobnoburżuazyjny skład zwolenników, którzy byli tylko przypadkowo zebranym i tchórzliwym tłumem bezideowców, nie mających wewnętrznej spójni i nie przedstawiających żadnej, minimalnej choćby społecznej siły, zabiły go wreszcie pamiętne dni 1906-go roku, które przyczyniły się do zradykalizowania społeczeństwa i odsunięcia go od prądów reakcyjnych. Wszystkie te czynniki wpłynęły w błyskawicznym czasie na rozpad sjonizmu i obecnie jest on tylko zlepkiem luźnych, walczących ze sobą partji i frakcji. Obok nieprzejednanych sjo-sjonistów, którzy nie porzucili jeszcze myśli o podboju Palestyny, powstała liczna grupa tak zwanych “terytorjalistów“, pragnących własnej ziemi, wszystko jedno gdzie, choćby w Afryce (Uganda), lub na Cyprze. „Kulturalni“ znowu sjoniści odkładają niepodległe państwo żydowskie ad *filiciora tempora*, — to znaczy mniej więcej do roku trzytysiącznego, — tymczasem zajmują się „przygotowywaniem ludu do czekającej go niepodległości“. Pod tą formułą ukrywa się krzewienie najskrajniejszego szowinizmu, nienawiści do wszystkiego, co nie jest żydowskiem, kultywowanie ad hoc wymyślonej i nieistniejącej „duszy żydowskiej“ i „sztuki żydowskiej“ i różnych najbardziej zaśniedziałych zabobonów wielowickowej tradycji. Sjosocjaliści (S. S.) znów i „Poalei-Zion“ — przedstawiają bardzo nieudolną i z góry skazaną na zagładę kombinację sjonistycznych i socjalistycznych elementów. Wyliczyliśmy główniejsze tylko ideowe grupy powstałe na gruzach sjonizmu, — wszystkie one znajdują się w ciągłym ostrym wzajemnym zatargu i nawet na kongresach przyszło z tego powodu do gorszących, burzliwych scen. Tym sposobem, jako zwarta i silna jednostka społeczna, sjonizm faktycznie przestał istnieć, — zbiór zaś drobnych partyjek, uformowanych po jego bankructwie, — czeka z powodu duchowej anemji bardzo prędki zgon, albo też połączenie z innemi istniejącemi już oddawna kierunkami społecznemi.

Dr. Henryk Kohn.

SPRAWOZDANIA.

W De profundis są wspaniałe stronice, poświęcone Chrystusowi. To najpiękniejsza część tego smutnego pamiętnika więziennego, tchnącego szczerością i strzelistą, kalejdoskopiczną rozrzutnością wyobraźni. Tu Wilde rzuca przenikliwe aforyzmy o życiu wewnętrznem jednostki, o drogach twórczości, o walce artysty o swe prawa indywidualne, tu z otwartością, rzadką w czasach modnego pobrzękiwania frazesami, otwiera przed czytelnikiem widok na samego siebie, na swój wzrost i wybujanie, na swoje zepsucie, na swój upadek i na swoje duchowe przerodzenie. W pochwałach, jakie oddaje sobie, w przepysznie — naiwnem roztaczaniu swych chwał artystycznych, brzmi zanikająca dziś nawet u artystów boska niefrasobliwość na to, co powiedzą mali i zawistni, czatujący ze zjadliwą ciekawością na każdy wylew tych, co mają prawo mówić o sobie z wyniosłą radością.

Wspomniałem, że stronice o Chrystusie są pełne czaru. Czynią one rzecz niemal nieprawdopodobną: wyolbrzymiają postać, czczoną od wieków. Chrystus Wilde'a to olbrzymi romantyk i indywidualista. „Pojmował on, — mówi Wilde, — cierpienia trędowatych, mroki, otaczające ślepców, gorzką niedolę tych, którzy uciechą jedynie żyli i dziwne ubóstwo bogaczów“... „Czem dla panteisty bóg, tem dla niego był człowiek. On pierwszy spojrzał na przeróżne rasy jako na wielką jedność“... „Mocą cudownej potężnej fantazji, która w nas święty lęk budzi, zdobył on cały świat Niewysłowionego, cały świat bezgłosego Bólu, by z nich królestwo swoje uczynić, a samemu stać ich wiecznym niemilknącym głosem“. Niestety Chrystus nie zostawił po sobie prawdziwych naśladowców: ostatnim chrześcianinem, według Wilde'a był święty Franciszek z Assyżu!

Zgłębienie tematu „Chrystus, jako zwiastun prądu romantycznego w życiu“ — oto jedno z zadań, jakie obiecywał sobie Wilde po odzyskaniu wolności. W głębokim nastroju, jaki ogarnął go przy odczytywaniu Nowego Testamentu, widzi on zwrot ku nowym dziedzinom, ku doświadczeniom, które dotąd starannie pomijał. „Jak Gautier, — mówi o sobie Wilde, — byłem jednym z tych „pour qui le monde visible existe“. Teraz przecież wiem, że poza całem tem pięknem, jakkolwiek ono było przekonywające, ukrywa się duch, dla którego wszystkie owe postacie i wzory są jedynie formami, służącemi mu do przejawiania się; z tym właśnie duchem pragnąłbym znaleść się w harmonji.“

To marzenie artysty nie ziściło się. Życie nowo nie zajaśniało. Wybitny artysta złamał się i zmarł. De Profundis—to ostatni purpurowy błysk tego giętkiego, przenikliwego umysłu, tej wyobraźni, igrającej ze stubarwną wstęgą życia.

Jan Lemański. Nowenna czyli Dziewięćdziesiąt dziewięć dytyrambów o szczęściu.

Nowenna Lemańskiego wydaje mi się jednym z najbardziej zjadliwych poematów, napisanych przeciw filistrom. Jadowita jędrność jege obrazów, straszliwie bolesny skrót tego, co nazwać można „duszą“ czy wizerunkiem filistra, występuje z jaskrawością gwałtowną, niemal oślepiającą. Jestem pewien, że kto nosi w sobie coś z filistra (a mało kto jest tak szczęśliwy. że niema ani źdbła tego plugastwa!), ten, czytając Nowennę, dozna uczucia wysuwającego się gdzieś z głębi z żywiołowym uporem wstydu, i że oburzy się przeciw samemu sobie. Autor rzucił harpun tak celnie i tak umiejętnie, że trafia niemal w każdego: cudowny i mistrzowski rzut! Jest to zwierciadło jasne, dobitne, napój lekko oszałamiający... Pije się go z uśmiechem, wśród wesołych drwin i żartów, lecz zostawia on palącą długo gorycz na ustach...

Nowenna nie mówi o tem, co złe i co dobre, lecz wystawia od niechcenia całą szkaradę współczesnego bezducha: poziomość tępej zmysłowości, bezfantazyjność, egoizm, czczenie złota, płaskość upodobań, zgniłą powszedniość zamiarow i celów. Wśród wybuchu śmiechu i żartobliwych grymasów przechodzą w hańbiącym tryumfie czcze ideały, zabawy, pozbawione szalonego rytmu żywiołow lub wytworności renesansowej, upadlająca donjuanerja, protegowana przez zanik ducha literatura, prostytująca się sztuka, przekupna krytyka — słowem całe tłuste, obrzmiałe i bezmyślne oblicze czasów dzisiejszych!

Blask światła, rzucony przez Lemańskiego, na burżuazyjne życie współczesne, jest jednym z najpiękniejszych objawów dzisiejszego dnia literackiego.

Nal i Damajanti. Baśń staroindyjska z ksiąg Maha Bharaty. Z sanskrytu przełożył Antoni Lange.

Jak w wielkiej sędziwej puszczy, szemrzącej hymny gwiazdom i słońcu od wieków, pogrąża się umysł współczesny w stokach wielkiego poematu indyjskiego. Ogrom obrazów i charakterów, surowość zamierzchłych czasów, kiedy majestat panów, arjów — szlachetnych, odgradzal się tak straszliwe od rzeszy zwykłych śmiertelników.

Damajanti mówi: „A gdy przemówi do mnie kto obcy, niech spotka głupca kaźń surowa, a gdy powtórzy grzech — to śmierć“. bramińskie pojmowanie moralności i świata (śród zalet człowieka doskonałego widnieje zawsze: pobożność, znawstwo obrzędów i Wed, świat zaś jest „grzechu pełna rzecz“) — staje żywo w przekładzie Langego. Język, piękny, obrazowy i śmiały. Nasza literatura przekładowa zyskuje w tem tłumaczeniu rzecz bardzo cenną.

L. Choromański.

JANUSZ KORCZAK.

FERALNY TYDZIEŃ*).

(Z życia szkolnego)

Stasio nie należy do żadnej z tych trzech grup. Zrobił trzy działania, przy czwartem wypadło mu, że wódz stracił w drugiej bitwie siedemnaście i pięć dziewiątych żołnierza,—więc przekreślił ostatnie działanie i czekał. Patrzy na nieruchome pióro sąsiada i mroczną twarz Goldszterna — i już z zupełną rezygnacją oczekuje dzwonka.

— No dosyć,—będzie już!

Niektórzy ociągają się jeszcze z podaniem kajetu. Stasio przykłada bibułę, choć stronica wyschła już dawno.

Trzech zrobiło zadanie, dwóch ściągnęło do połowy.—Stasio postanawia powiedzieć w domu, że nie rozwiązał zadania, aby z góry uprzedzić o dwójce w przyszłym tygodniu.

— Nasz Stasio, proszę pana, nie zrobił zadania.

Korepetytor ma minę zakłopotaną. Stasio strasznie nie lubi, jak mama robi uwagi korepetytorowi. Bo co on winien?

— Tylko trzech zrobiło,—wtrąca nieśmiało.

— Ty zawsze zapatrujesz się na nieuków i leniów,—mówi mama.—Jeżeli trzech zrobiło, to ty mogłeś być czwartym, który zrobił.

— Jak było takie trudne,—zaczyna Stasio, ale przypomina sobie dwie dwójki i milknie.

— Myśmy, proszę pani, przerabiali wczoraj zadania,—mówi korepetytor, skubiąc górną wargę.

— Wczoraj to zamało, trzeba codzień robić z nim zadania.

I mama wychodzi zagniewana.

Chwila przykrego milczenia.

— I cóż to było za zadanie?—pyta korepetytor.

Stasio nie pamięta. — Niektórzy uczniowie zaraz na pauzie zaczęli się kłócić, kto dobrze zrobił i jak trzeba było robić,—przerabiali je na tablicy,—przepisywali na kartkach. — I co im z tego mogło przyjść, kiedy i tak wszystko przepadło?

„Czy starego indjanina złapali i zabili, czy też udało mu się uciec?“—Stasio przed przyjściem korepetytora czytał.—Żeby to mama wiedziała!

— Jakto, godzinę siedziałeś nad zadaniem i nic nie pamiętasz?

Żeby on się już wyniósł, myśli Stasio,—i przypomina sobie, że to dziś środa, i zaraz przyjdzie niemka.

— Daj zadacznik.

— Jutro niema arytmetyki,—broni się Stasio.

— Nie pytam się ciebie. Dawaj zadacznik.

I Stasio poczuł nagły przypływ zawziętego gniewu.

— Niech mi pan wytłumaczy, kiedy się mnoży i kiedy dzieli; tylko bez iksów.

I po upływie kilku minut rozumie wszystko, rozwiązuje szybko cztery zadania, przypomina sobie dzisiejszą klasówkę i ku własnemu zdumieniu przekonywa się, że była łatwa.

— I nie lepiej to było wczoraj uważać?—pyta z wyrzutem nauczyciel.

Stasio sam wie, że lepiej; ale dlaczego tylko trzech zrobiło?

Po lekcji bierze dziennik i zapisuje zadane lekcje na cały tydzień.

Czwartek: Niemiecki. Tłomaczenie § 23. — Kaligrafja,—w klasie.—Ruski. Opowiadanie § 49.—Religja § 58.—Śpiewy. W klasie.—I czego tu się uczyć?

Chciał dziś nie czytać, tylko się uczyć; kiedy niema czego.—I wyjął swego indjanina z szuflady.

Na niemieckim był nieznośny. Nauczycielka chciała już iść na skargę.—Boże, coby to było!..

Uczniowie klas wyższych zadają sobie pytanie, skąd w gimnazjum wiedzą zawsze, kiedy ma przybyć na rewizję: inspektor szkół, pomocnik kuratora lub sam kurator.

A jednak wiedzą.

Niezwykły wygląd przybiera wówczas szkoła.

Dyżurni w niższych klasach otrzymują dyktaturę. Nie daj Boże, aby dyżurny poskarżył się, że ktoś nie chce podnieść papierka, narysował coś na tablicy, lub wogóle—szumi.—Pedlowie z odświętnemi minami chodzą po kurytarzach: — coś w rodzaju wzmocnionej ochrony, — w powietrzu atmosfera napięcia, — jakby w oczekiwaniu ataku, czy oblężenia, — czy sądów wojennych.

Malcy cieszą się powściągliwie: dla nich to rozmaitość w nieznośnie nudnem, jednostajnem życiu coś pośredniego między galówką a przeprowadzką. Dwa wrogie obozy, uczniowie i nauczyciele klas wyższych, łączą się na czas pewien dla zwalczenia wspólnego, silniejszego wroga. Cała szkoła żyje teraz jedną myślą, jednem uczuciem, które streszcza się w wyrazie:

— Władza!

Nawet ci, którzy mogliby się nie wzruszać, doznają pewnego dreszczyku: a nuż... a nuż niełaska,— co wtedy?

— Czy u wszystkich są halstuki? Czy wszyscy mają paski? Kto jest bez guzika?—Jeżeli kto ma jaką postronną książkę, niech odda.—Kto umie lekcję?— Powtórzyć chronologję!

Stuk kół o bruk uliczny. — Jedzie,—nie jedzie,— jedzie.—Nie.—Głowy zwracają się ku oknu.

— Uważać, nie rozglądać się,— upomina nauczyciel głosem nad wyraz łagodnym.

— Jest. Teraz już jest.

Teraz pewnie woźny, przybrany w nową liberję z błyszczącemi guzami, stary Mikołajewski weteran,— otwiera mu drzwi. — Teraz pewnie dyrektor go spotyka,—podaje mu rękę.—Szmer.

Idzie przez korytarz. Wszedł do piątej klasy.

Nauczyciel kaligrafji poprzesadzał uczniów.

Dlaczego to zrobił, sam z trudnością umiałby odpowiedzieć. — Na pierwszych ławkach posadził tych, którzy mieli nowe bluzy i czyste kołnierzyki.—Uległ ogólnemu prądowi: niech i tu nawet będzie wszystko wzorowo.

I Stasio okazał się na pierwszej ławce.

Idzie.—Był w piątej klasie na rosyjskim, w ósmej na historji, w trzeciej na arytmetyce, teraz wszedł do klasy Stasia podczas kaligrafji.

— Kaligrafja?

Odpowiedzią był nizki ukłon.

— Siadajcie,—zwrócił się do chłopców.—Nie przeszkadzajcie sobie.—Nauczycielowi podał rękę.

Jezu, co orderów,—pomyślał Stasio.

— Raaz, dwaa, — raaaz, dwaaa, — liczy pierwszy uczeń, a klasa w takt pisze.

— Okna otwieracie podczas pauzy?

Kurator od tego pytania zaczyna wizytację każdej klasy,—w myśl zasady: mens sana in corpore sano.

— Raaaz, dwaaa,—liczy, może zbyt głośno pierwszy uczeń.

Postanowione było, aby liczył pierwszy, albo drugi uczeń.

Kurator nachylił się nad kajetem Stasia.

— Wstań,—rozkazał nauczyciel.

Stasio wstał.

— Źle trzymasz pióro. Pióro tak należy trzymać przy pisaniu.—Pan powinien zwracać s u r o w ą uwagę na to, aby uczniowie prawidłowo trzymali pióra.

Miała to być ostatnia uwaga, po której dygnitarz chciał opuścić gmach szkolny, aby na pierwszą zdążyć do domu na śniadanie.

— Ja właśnie dlatego sadzam go na pierwszej ławce, że źle trzyma pióro,—powiedział kaligraf.

Było to tylko pokorne usprawiedliwienie, władza wzięła to za zuchwalstwo. Odpowiedź można było uważać za: „pracuję sumiennie nad powierzoną mej pieczy dziatwą“, zarówno jak i: „wiem, jak należy trzymać pióro i bez pańskich uwag“. — Słuchać i nie rozumować, — zasadzie tej nauczyciel się sprzeniewierzył i otrzymał zasłużoną karę.

Kurator lekko się zarumienił i wskazując palcem na drugą i trzecią ławkę,—powiedział twardo.

— Ci nie siedzą na pierwszej ławce, a palce o b r z y d l i w i e trzymają.

I spojrzawszy na zegarek, wyszedł bez pożegnania.

„Surową—obrzydliwie“—„strogoje—otwratitielno“. —Stasio czuł zwisającą nad jego głową burzę.

Stuk kół wskazał, że władza odjechała.

— Osioł,—huknął nauczyciel.—Bałwan!—I jeszcze pcha się na pierwszą ławkę!

— Pan sam mnie posadził,—mówi Stasio.

— Milczeć!—Na ostatniej ławce będziesz siedział na moich lekcjach.—Popamiętasz ty mnie. Marsz!— Łapy wam poobijam,—zwrócił się już do całej klasy.— Bydło!

Stasio wziął kajet i pióro i poszedł na ostatnią ławkę.

Stasio, jak i cała klasa, pogardzają nauczycielem kaligrafji.—Daje tylko do trzeciej klasy, zostawić na drugi rok nie może; ale owo: „popamiętasz ty mnie“... A jak powie dyrektorowi, co wtedy?—A nauczyciel w kratce — Przemyski — postawił cztery grube pałki: z przedmiotu, uwagi, pilności i sprawowaniu.

Koledzy patrzą na Stasia ze współczuciem: to, co jego spotkało, mogło spotkać każdego z nich.—Biedny Przemyski.—Podczas pauzy będą o nim mówili w uczi-

tielskoj, — całe gimnazjum, wszyscy się dowiedzą,— i będą się mścili.

Co za straszny, straszny, straszny tydzień—myśli Stasio.

— Pójdziemy razem, dobrze? — proponuje Kowalski.

— Wszystko mi jedno,—odpowiada Stasio.

Kowalski nie czuje się urażonym szorstką odpowiedzią Stasia. Wie, że Przemyski go lubi, ale jest zły, bo ma zmartwienie.

— Daj, zapnę ci raniec,—mówi łagodnie.

Stasia rozbraja jego dobroć. — Wychodzą razem na ulicę.—Kowalski będzie go pocieszał,—i Stasio się rozerwie,—zapomni. — Co to ważnego: kaligrafja?

Przyczepił się do nich Malinowski. Dali mu odprawę, ale Malinowski nie ma ambicji i czepia się ich natrętnie.

— Idź sobie.

— Zabronisz mi chodzić po ulicy?

Zwalniają kroku,—Malinowski toż samo.

— Dobrze, łaź za nami.—Ogon!—Pies.—Chodź tu, —na,—na!

Malinowski wie, że w ten sposób chcą go się pozbyć,—więc postanawia rozłościć ich jeszcze bardziej.

— Przejdźmy na drugą stronę, proponuje Kowalski.

— Poczekajcie: ja jutro dyżurny, to się wam odpłacę, krzyczy wślad Malinowski.

— Dobrze, odpłać!

Chwilę idą w milczeniu. Jakby tu zacząć, aby nie urazić przyjaciela?

— Słuchaj Przyłuski, przecież on ci nic nie może zrobić,—czego ty się go boisz?

— Nie boję się wcale, tylko się będzie ciągle przyczepiał.

— A ja ci mówię, że za tydzień o wszystkiem zapomni.

— A jakże, zapomni, jak ja będę siedział na ostatniej ławce.

— To też nie siadaj. Jak ci co powie, to mu powiesz, że jesteś blizoruki—i już.

— A on pewnie już naszczekał na mnie.

— A ja ci mówię, że nie. On sam się boi dyrka.

— Więc poco mi cztery pałki postawił?

— To też go poproś, żeby przekreślił.

Stasio nie odpowiada. — Bo oto naprzeciw idzie dziewczynka w żałobie. Zawsze chodzi po tamtej stronie ulicy, a dzisiaj—po tej akurat. Opowiada coś koleżance, i śmieją się. — Może jej tylko babka umarła, bo inaczej jakżeby ona mogła się śmiać? Spojrzy na Stasia czy nie spojrzy?—Spojrzała.—Potem coś powiedziała koleżance, pewnie o Stasiu, bo obejrzały się i zaczęły się śmiać.— Może poznała, że płakał? Choć on właściwie nie płakał, tylko łzy miał w oczach, a od tego oczy nie puchną.

— Co?—pyta Stasio.

— Poproś go, żeby przekreślił.

— Ja tam nie będę prosił.

— Co ci to szkodzi?

— Bo nie chcę.—Patrz jaka to świnia. Sam przecież mnie posadził, jemu powiedział, że naumyślnie, a potem wrzeszczy.—Jakbym go prosił.

Stasio uspakaja się pod wpływem rozmowy.

— Czy ta duża gwiazda, co miał przy orderach, to także order—pyta kolegi.

— Chyba, że order.

— Czy jak on przychodzi do gimnazjum, to musi być w orderach?

— Eee, chyba nie,—tylko tak, żeby się pochwalić.

— A może musi?

— A kto jemu może kazać?

Prawda: kto jemu może kazać, — jemu, którego boi się nawet dyrektor?

— Dlaczego on wszedł do nas sam, a nie z dyrektorem?

— Dyrek chciał z nim iść, ale on nie chciał.

Bo dyrek miał lekcję akurat w piątej klasie.

— A skąd wiesz?

— W szynelni jeden uczeń mówił... A wiesz, że lepiej, że dyrka nie było?

— Pewnie, że lepiej. Jeszcze by co i jemu powiedział.

Żegnają się na rogu ulicy i rozchodzą.

Stasio wstępuje do nowego sklepu po kajet.

— Proszę mi pokazać te łańcuszki, co się dodaje do bruljonu.

— O, proszę pana. Prawda, że ładny? Niech pan pociągnie, jak pan tylko chce; nie urwie się,—taki mocny.

Stasio nie lubi, jak mu mówią: pan—bo mu się zdaje, że się z niego śmieją.

Bierze kajet i wychodzi.

I poco mu właściwie łańcuszek? Przecież nie będzie nosił zegarka na dwóch łańcuszkach...

(D. c. n.)

OGŁOSZENIA.

Wielki dziennik polityczny i literacki

„KURJER LITEWSKI“

w Wilnie.

Wydawca F. Zawadzki. — Redaktor Cz. Jankowski.

Prenumerata wynosi w Wilnie: rocznie 6 rb., półrocznie 3 rb., kwartalnie 1 rb. 50 kop. miesięcznie 60 kop. Z przesyłką pocztową: rocznie 8 rb., półrocznie 4 rb. kwart. 2 rb. miesięcznie 75 k. Zagranicą: rocznie 14 rb. półrocznie 7 rb. kwart. 3 rb. 50 k. Adres Redakcji i Administracji: Wilno, ul. Bonifraterska Nr. 2.

Rutynowana administratorka pisma tygodniowego poszukuje zajęcia w administracji pisma. Wiadomość w redakcji Przeglądu Społecznego Bracka 12.

WIELKI WYBÓR.

M. MANKIELEWICZ

FABRYKA i MAGAZYN

WYROBÓW BRYLANTOWYCH ZŁOTYCH i SREBRNYCH

Gmach Teatru pod Filarami.

POLECA:

Biżuteję poważną: kolczyki, brosze egrety, kolje, perły i Pierścionki wytworne najwyższej wartości.

Biżuterję złotą z kamieniami i bez kamieni: bransolety pancerowe i inne łańcuszkowe od rb. 12. broszki z brylantami i kolorowemi kamieniami od 15 rubli, pierścionki od 6 rb., łańcuchy długie do zegarków i wachlarzy, łańcuchy męzkie do zegarków, breloki spinki do gorsu i mankietów.

Papierośnice, zapalniczki złote, bogato dekorowane i kamieniami, papierośnice srebrne z kamieniami, emaljowane i gładkie papierośnice, czarne stalowe, z kamieniami zapalniczki, pudełka do papierosów na stół.

Zegarki damskie i męzkie, ozdobne i gładkie, tylko wysokiej precyzji, zegarki biurkowe małe.

SREBRO: Puhary, dzbany do wina, zup, karafki do wina i likieru, serwisy do likieru, kubki, żardinjery, koszyki, etażery, kandelabry, lichtarze, ecrituary, serwisy do herbaty kawy, wazony, do kwiatów, przedmioty na pamiątkę chrztu i t. d.

Największy wybór, najpiękniejsze modele, realne ceny.

SPECJALNOŚĆ:

Wysyłka na prowincję, do cesarstwa i zagranicę; przedmioty zamówione listownie, w razie gdy się niepodobają zamienia na inne lub zwraca pieniądze bez żadnej straty.

Adres telegraficzny: **Mankielewicz,** Teatr, Warszawa.

REALNE CENY.

B. KOCHANOWICZ

PRZEPROWADZKI

OPAKOWANIE i PRZECHOWANIE MEBLI

BIELAŃSKA 3. — MARSZAŁKOWSKĄ 90.

Fabryka egzystuje od 1878 r.

WILHELM BERNSTEIN

Warszawa, Elektoralna 14.

Fabryka łóżek żelaznych, wozków i welocypedów dziecinnych, materacy do łóżek i wózków

Cennik ilustrowany za opłatą 20 kop.

Z CENNIKA ZNACZNY RABAT.

DARMO

wysyła się każdemu na okaz w celu dalszych zamówień za gotówkę 10 obrazów i obrazków, oprawne w ramkach dla ozdoby domu. Są to typy ludowe, wojny, polowania, widoki ważnych miejscowości i zdarzeń, potrety OO. kościoła katolickiego i portrety sławnych mężów Polski i t. d. i t. d.

Na okaz wysyłam tym, którzy nadeślą w liście marki (znaczki pocztowe) na opłacenie przesyłki obrazów 5 klgr. paczki, gdyż nieopłaconych skrzynek nie posyła się.

Przyjmuje się marki pocztowe wszystkich krajów.

Kto życzy sobie bliższych imformacyi należy załączyć markę listową na odpowiedź.

WAŻNE. Przyjmuję w komis do sprzedania książki różnej treści; czasopisma, prosząc o nadesłanie okazowych broszur, czasopism, dzienników, uprasza się wszystkie fabryki o wysyłanie cenników w celuza kupna różnych towarów. i t. d.

J. J. BYSTRZYK

w Majdanie od Kolbuszowa

Galicja-Austrja

Instytut Techniczny we Frankenhausenie na Kyffhäuserze.

W 20-tym semestrze swojego istnienia wymieniony zakład naukowy rozpoczął budowę wielkiej sali maszynowej dla specjalnego oddziału maszyn rolniczych. W tymże budynku znajdować się będzie laboratorjum dla elektrycznych i mechanicznych doświadczeń, zaopatrzone w tym celu w najnowsze wypróbowane maszyny wszelkiego rodzaju. Ze względu na to iż odpowiednia kwota na budowę została już wyznaczona, korzystanie z tego bogatego działu będzie udostępnione dla słuchaczów już w roku bieżącym. Przy instytucie istnieje również szkoła architektoniczna. Semestr letni rozpoczyna się 18. kwietnia. Dyrekcja instytutu chętnie udziela informacji i wysyła program zajęć.

Z d. 8 Marca r. b. zaczął wychodzić w Petersburgu wielki dziennik polityczny i literacki p. t.

„RIECZ“

przy najbliższym udziale P. M. Milukowa i T. W. Giessena.

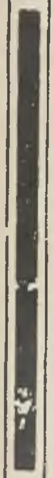
Warunki prenumeraty w Petersburgu i innych miastach Rossji: rocznie 12 rb., półrocznie 6 rb. 45 kop., kwartalnie 3 rb. 45 kop. miesięcznie 1 rb. 20 kop. Za granicą: rocznie 20 rb., półrocznie 11 rb., kwartalnie 6 rb., miesięcznie 2 rb.

Cena pojedyńczego numeru 5 kop. Cena ogłoszeń: za wiersz petitu przed tekstem 50 kop. po za tekstem 25 kop.

Adres Redakcji: Petersburg ul. Żukowskiego 21 telef. 728.

Głównego kantoru i ekspedycji: Kirocznaja 24 tel. 33-38. Petersb.

Wydawca J. B. Bak. Redaktor O. E. Bużanski



Sprobujcie a będziecie zdziwieni znakomitem działaniem

Prawdziwych Sodeńskich Mineralnych Pastylków

Fay'a

przy kaszlu, chrypce, katarze oskrzeli, wogóle przy zaziębieniu organów dróg oddechowych.

Smak przyjemny.

Użycie bardzo proste.

Pastylki te są do nabycia po 70 kop. za pudełko we wszystkich aptekach i składach aptecznych.

Skład główny: **Tow. Akc. Ludwik Spiess i Syn, Henryk Welt i F. Karpiński** w Warszawie.

SULLY JAKOB.

Dusza Dziecka

tłomaczyła

Izabella Moszczeńska

Cena 2 rb.

ZAKŁAD

Stolarsko-Tapicerski

firmy

„STANISŁAW"

Erywańska 14.

Trzeci dom od Marszałk. (wprost skweru)

Posiada na składzie różne MEBLE i przyjmuje zamówienia na urządzenia apartamentów po cenach nizkich.

WYKONANIE SUMIENNE.

„PRZEGLĄD SPOŁECZNY"

Tygodnik, wydawany przy współudziale wybitniejszych polskich pisarzy **postępowych.**

Zamieszcza prace z dziedziny nauk społecznych — ekonomji politycznej, socjologji, polityki, historji, sprawozdania z ruchu społecznego i naukowego, oraz utwory z zakresu beletrystyki i krytyki literackiej.

PRENUMERATA:

w Warszawie:	r. k.	*Z przesyłką pocztową:*	r. k.
Rocznie . . .	7 60	Rocznie . . .	9 —
Kwartalnie . .	1 90	Kwartalnie . .	2 25
Miesięcznie . .	— 65	Numer pojed. .	— 15

Adres: Warszawa, Bracka 12.

Numer okazowy na żądanie bezpłatnie franco.

Fabryka Farb. dawn. Fr. Bayera i S-ki

w Elberfeldzie.

„SOMATOZA"

Somatoza — środek odżywczy i posilny dla osób osłabionych i rekonwalescentów.

Somatoza — wyrabia się z mięsa i zawiera ciała białkowe i odżywcze sole.

Somatoza — zawiera lekko strawne części składowe, które się szybko wchłaniają i podnoszą odżywianie organizmu.

Somatoza — w wysokim stopniu pobudza apetyt.

Somatoza — w krótkim czasie podnosi wagę ciała i po 2 — 3 tygodniowem jej użyciu można już zauważyć przyrost wagi do kilku funtów.

Somatoza — jest naturalnym środkiem wzmacniającym dla słabowitych i rekonwalescentów.

Somatoza — proszek łatwo rozpuszczalny w płynach: mleku, kawie, kakao, czekoladzie, herbacie, zupie i t. p., nie posiada żadnego zapachu ani smaku, bywa chętnie używana.

Chorym, potrzebującym żelaza, najlepiej podawać **Somatozę żelazistą** t. j. Somatozę, zawierającą 2 i pół % żelaza w połączeniu organicznem w którem zupełnie nie czuć smaku żelaza.

Chorzy, mający wstręt do mięsa, lub też dzieci, skłonne do biegunki, winni używać **Somatozy mlecznej** t. j. Somatozy przygotowanej z mleka, a nie z mięsa.

DOZA dla dorosłych: po łyżeczce od herbaty w kawie, mleku i t. p. po 3 — 4 razy dziennie.

Dla dzieci: stosownie do wieku od 1 grama—(około 1/4 zołotnika) do 8 gramów (około 2 zołotników) w 3 dawkach.

Sprzedaż Somatozy we wszystkich aptekach oraz znaczniejszych składach materjałów aptecznych.

15 k. szt. 15 k. szt.



„Ser ten wyrabia się **z najświeższej śmietanki**".

Do nabycia we wszystkich lepszych mleczarniach i handlach gastronomicznych.

Przedstawiciel **JÓZEF SZMOLKE.**

Marszałkowska 151. Telef. 7.25.

Redaktor i Wydawca **A. MILLER.** Drukiem A. Wiślickiego, Długa 23.